

BIBLIOTECZKA POWIEŚCI HARCERSKICH
TOMIK II.

PRZEDARCIE SIĘ HARCERZA DO OBLĘŻONEGO LWOWA

(Z PAMIĘTNIKA Ś. P. ALFONSA TĄKIELA)

OPRACOWAŁ R. K.



KRAKÓW 1919
NAKŁADEM HARCERSKIEJ SPÓŁKI WYDAW
W KRAKOWIE

BIBLIOTECZKA POWIEŚCI HARCERSKICH
TOMIK II.

PRZEDARCIE SIĘ HARCERZA DO OBLĘŻONEGO LWOWA

(Z PAMIĘTNIKA Ś. P. ALFONSA TĄKIELA)

OPRACOWAŁ R. K.



KRAKÓW 1919
NAKŁADEM HARCERSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
W KRAKOWIE



45727

DRUKARNIA LUDOWA W KRAKOWIE.

K-86/47/82048

PRZEDMOWA.

Hasło: „wszystko, co nasze, Polsce oddamy“, prowadzące młodzież naszą w latach światowej wojny, znalazło szczególnie silny oddźwięk w drużynach harcerskich. Rwał się więc w ój dorosły i mały, zamieniając kij skautowy na karabin.

Dumni jesteśmy z tych naszych młodych bohaterów i czekamy sposobnej chwili, by uczcić ich pamięć dziełem trwałem, któreby dorastającemu pokoleniu harcerzy przypominało, jak spełniać obowiązki wobec Ojczyzny.

Na czele wspomnień o młodych naszych harcerzach idą przygody Alfonsa Tąkiela, owiane nie tylko wiekiem poświęceniem dla sprawy, lecz także romantycznością, która z nich tworzy dobry i miły temat do gawędy skautowej.

Niech więc gdzieś przy ognisku, na ustronnej polanie, rzucona ta garstka wspomnień, wzbudzi w duszach młodych słuchaczy cześć dla bohatera i zapal do wstępowania w jego ślady.

Dziś drogiego nam skauta już kryje skromna mogiła na froncie litewsko-białoruskim. Jeszcze w 1914 roku, jako nieletni legionista, dostał się

do niewoli pod Mołotkowem; przeszedł wśród Moskali dziwne koleje; bolszewikom wymknął się cudem, by wrócić do drogiego Krakowa i stanąć do pracy harcerskiej; przewrót listopadowy porwał go znów w wir wydarzeń; niosąc w szcudrej ofierze Ojczyźnie przyszłość swą i życie, rzucił wszystko i zgłosił się jako ochotnik do grupy harcerskiej na froncie litewsko-białoruskim. I dziś w ciemnej mogiłę, wśród poległych towarzyszy broni, śni o wolnej Polsce, świadom, że był jednym z tych, którzy Jej wolność wywalczyli.

Przygody niżej podane, wyjęte są wprost z pamiętnika bohatera, któremu więcej zależało na rzeczowej ścisłości, niż na formie literackiej, niech więc Czytelnik, mając szacunek dla pracy, ma wyrozumienie dla formy.

Czuwaj!

**Skautowa Komenda Okręgowa
w Krakowie.**

Harcerze, dzieci polskie walczą bohatersko na ulicach drogiego sercu polskiemu Lwowa...

Przedrzeć się do nich przez linie zbrodniczych watah ruskich, zamieść im słowa otuchy, uznania, serdecznych braterskich pozdrowień, zapewnić, że Kraków, patrząc na ich nadludzkie, bezprzykładne zmagania się z wrażą przemocą, przygotowuje się gorączkowo do śpieszenia im z odsieczą —.

Oto wzniosłe zadanie, jakie powierzyła mi do spełnienia krakowska okręgowa komenda harcerska w porozumieniu ze sferami wojskowymi.

Towarzyszem moim instruktor harcerski, a oficer wojsk polskich Rolek K.

Ruszamy w przebraniu: ja za Moskała, on za żołnierza ukraińskiego.

Mam przedrzeć się do obleżonego Lwowa!...

Te słowa, któremi żegnali mnie bracia-harcerze, dźwięczą mi w duszy jakąś wielką, potężną melodią, rozbudzona wyobraźnia pracuje żywo i rozwija przedemną obrazy tych nadzwyczajnych okoliczności, jakie towarzyszyć będą zapewne tej świętej misji, jaką mam wypełnić.

Czasem ogarnia mnie groza niebezpieczeństw, na które się narażam, boć zadanie nie jest proste i łatwe...

Wierzę jednak w harcerskie szczęście, które towarzyszyło mi tak niezmiennie na Syberyi, wierzę w moje siły, boć przecież tyle lat zaprawiałem się do „przyszłych czynów“, wierzę, że Bóg ochraniać nas będzie, boć sprawiedliwej i świętej sprawie służyć chcemy...

Nadszedł towarzysz; idziemy ku dworcowi kolejowemu. Pociąg już jest, za parę minut rusza...

Żegnaj Krakowie drogi i miły! Żegnajcie kochane mury i wieże kościołów, bo może nie prędko zobaczę was znowu.

A może już nigdy?... Jeżeli mnie złapią Ukraińcy, powieszą napewno — nie piękna śmierć!..

Lecz cóż to za myśli przychodzą mi do głowy? Uda się! bo i czemuż miałoby się nie udać!

Spoglądam na towarzysza... zadumany...

— Rolek?

— Co Alfons?

Patrzmy sobie w oczy, a potem podajemy ręce i wrywa nam się prawie równocześnie z ust:

— Musi się udać!

— Wiesz, Alfons, co mi się przypomina? — mówi towarzysz.

— Co?

— Przedarcie się Skrzetuskiego do Zbaraża...

— Trochę podobna sytuacja. To będzie jednak wspaniałe, gdy wrócimy potem do Krakowa!..

— Ja pozostanę we Lwowie z obrońcami miasta.

— I ja mam na to ochotę...

— Jeden z nas musi wrócić z powrotem... tobie będzie lepiej w mundurze rosyjskim...

— Ostatecznie dobrze! Poprowadzę potem oddział harcerzy krakowskich do Lwowa!

W Rzeszowie spotkała nas pierwsza trudność, nie było bowiem dalej żadnego połączenia kolejowego. Zwróciliśmy się do komendy dworca i poprosiliśmy o osobną maszynę do Jarosławia.

W przeciągu dziesięciu minut wyjechaliśmy ze stacyi „kotłem“.

W Jarosławiu okazało się, że do Przemyśla jechać nie można, na torze bowiem leżą dwie maszyny. Ukraińcy dowiedziawszy się bowiem, że do Przemyśla zdąży polski pociąg pancerny, wypuścili naprzeciw dwie dzikie maszyny. Jedną zatrzymano, druga spowodowała karambol.

Pozostawała nam droga na Rawę Ruską i Żółkiew.

Ponieważ pociąg w tę stronę miał odejść dopiero dnia następnego, więc udaliśmy się do miasta szukać noclegu.

W pierwszej linii zwróciliśmy się do władz wojskowych, które obejrzawszy nasz dokument podróży, wystawiony przez krakowską okręgową komendę harcerską, przyjęły nas z otwartymi rękoma, nakarmiły i dały pomieszczenie na noc.

Na drugi dzień odjechaliśmy pociągiem, wiozącym jeńców rosyjskich, wracających z frontu włoskiego.

Miejsce znaleźliśmy na wierzchu maszyny, wśród kilku Moskali, z którymi wszedłem zaraz w rozmowę w ich rodzimym języku.

W Lubaczowie ujrzelśmy pierwszych uzbrojonych Ukraińców, pływających dworca.

Gdy pociąg zatrzymał się przed stacją, kilkunastu hajdamaków rozbiegło się po wagonach, by przeprowadzić rewizję.

— Czy i do nas przyjdą — pomyślałem sobie — mnie się nic nie stanie, ale towarzyszy nie umie ani słowa po rusku, mogą go więc zaaresztować..

Poprzednio umówiliśmy się, że jeżeli by go schwytali, pójdę w ślad za nim i przy po-

pomocy ukrytego na plecach browninga, uwolnię go.

Na szczęście pociąg nie zatrzymywał się tu długo i ruszył dalej.

Nad wieczorem przybyliśmy do Żółkwi.

Ściemniło się już zupełnie. Na stacji nie widać było żadnego światła. Po pewnym czasie nadeszło kilkudziesięciu hajdamaków, którzy otoczyli pociąg i trzymając broń w pogotowiu nie pozwalali nikomu wysiadać.

Ale nieprzeliczone masy żołnierstwa, parte wzajemnie przez siebie, tylko przez chwilę dały się zahypnotyzować skierowaną ku sobie bronią i wnet poczęły wypływać z wagonów.

Kordon hajdamacki cofnął się nieco w tył, powstał krzyk przekleństwa, padło kilka strzałów i masa wracających z pola wojowników rozbiła straż ukraińską, poczem rozlała się szeroko.

Przez cały ten czas zachowywaliśmy się zupełnie biernie, bo nie byliśmy w stanie oprzeć się tej niezmiernie sile, która nas niosła.

Wkrótce znaleźliśmy się w mieście.

Przeszliśmy parę ulic, ocierając się co krok o silne patrole hajdamackie, uzbrojone w karabiny i granaty ręczne.

I naraz stało się nieszczęście; zaaresztowano

mego towarzysza i powleczono do komendy ukraińskiej.

Przez moment namyślałem się co robić, a potem poszedłem za nim.

W budynku komendy zatrzymał mnie żołnierz; zbyłem go paru słowami i udałem się po schodach na górę.

Tu spotkałem brata mego towarzysza, aresztowanego również przez Ukraińców. Chwila zdumienia, a potem okrzyk:

— Alfons! — i rzucił mi się na szyję.

Krótko i węzłowato przedstawiłem mu całą sprawę, poczem zacząłem schodzić na dół, a przez myśl przewijało mi się mnóstwo planów wydobycia się z matni.

Wybrałem pierwszy z rzędu i przystępując z miną zawadyacką do strażującego żołnierza, kazałem mu zawołać kaprała.

Pocziwiec spełnił moje życzenie, a ja tymczasem wymknąłem się na ulicę.

Parę godzin bezowocnego oczekiwania. Wreszcie, czując swą bezsilność, z żalem w sercu i niepokojem o towarzysza wróciłem do miasta.

Po drodze wstąpiłem do restauracji, w której już poprzednio byliśmy i tu poznałem się z państwem S. W czasie bliższej z nimi rozmowy przekonałem się, że są rzetelnymi Polakami, więc wyjawilem im swoje zamiary.

Pocziwi ludzie, nie bacząc na to, że narażają się wielce, przyjęli mnie do siebie na nocleg.

Równo ze świtem zerwałem się z wygodnej pościeli, pożegnałem zanego gospodarza domu, poczem udałem się do komendanta harcerzy żółkiewskich z rozkazem mobilizacyjnym dla starszych chłopców. Równocześnie zawiadomiłem go o grożącym memu towarzyszwowi niebezpieczeństwie.

Komendant obiecał mi zrobić wszystko, co tylko będzie leżało w jego mocy, przyrzekł zajęć się zorganizowaniem ruchu zbrojnego, oraz służby wywiadowczej i obdarzył mnie na drogę szczegółową mapą okolic Lwowa.

Ruszyłem na miasto. Jakiś głos wewnętrzny mówił mi ciągle, że Rolek znajdzie przecież jakiś punkt wyjścia, że w jakikolwiekby sposób postara się o doręczenie mi papierów, które koniecznie musiałem zabrać do Lwowa.

I nie zawiodło mnie przecucie, bo oto po godzinie oczekiwania spostrzegłem na rynku Tadeka, który, udając, że mnie nie widzi, zmierzał powoli naprzód.

Wyprzedziłem go i skierowałem kroki ku restauracji, w której spotkaliśmy się niebawem. Tutaj oddał mi Tadek zabrane od Rolka papiery, poczem oddalił się szybko; był bowiem śledzony przez Ukraińców.

W mieście nie było co dłużej pozostawać, ruszyłem więc w dalszą drogę.

Na rogatec rewizya. Straż przeszukała mnie, zabrała połowę zapasów, jakie posiadałem, ale nie spostrzegła ukrytego w rękawiczce browninga.

Zapytany o drogę oświadczyłem, że idę na wschód przez Kamionkę Strumiłową.

Jednakże zaledwie tylko zniknęli mi z oczu, wróciłem na mą właściwą drogę, idącą przez Kulików do Lwowa.

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy znowu natknąłem się na patrol nieprzyjacielską, która, zrewidowawszy mnie skrupulatnie, obdarła z płaszcza, mówiąc, że Moskałowi austriacki płaszcz nie jest potrzebny.

— A kuda idiosz? — pytają.

— Ja wojenno plenny!, wovraszczajuś na rodinu w odeskoj guberniu.

Opowiadają mi wszyscy naraz, że źle idę, że koleje tu nie chodzą, żebym wrócił do Rawy Ruskiej i jechał przez Włodzimierz Wołyński do Odesy.

Nie pomogły żadne tłumaczenia, ani prośby, musiałem znowu zboczyć na wschód, a potem znowu zawracać.

Coprawda stawało mi się z każdą chwilą coraz źle na ciele, bo razem z płaszczem zrabo-

wali mi dzielni wojownicy z pod ukraińskiego znaku pieniądze i zapasy sacharyny.

— Na frasunek dobra... słoninka — pomyślałem sobie i usadowiwszy się na „kilometrze“, zacząłem „wcinać“ serdecznie.

Przy tej milej fatydy krzepiła mnie myśl, że im więcej dodam sobie ducha tym specyałem, tem mniej go zostanie dla mych oprawców.

W Kulikowie, na zburzonych do połowy ulicach, stały gromady hajdamactwa, rozprawiające i gestykulujące żywo. Na mój widok nastąpiło ogólne poruszenie, a potem grad pytań o stosunki panujące w Austrii.

Znowu uwagi, że idę w złym kierunku, potem objawy silnego apetytu na moje buty, a gdy wreszcie zwycięsko oparłem się wszelkim zakusom z ich strony i chciałem ruszyć w dalszą drogę, jeden z chłopów, ożywiony nagłym do mnie afektem, postanowił mnie odprowadzić.

Nie było rady i aby nie wzbudzić podejrzenia, przystałem na to.

Natrętny towarzysz prowadził mnie w kierunku wprost przeciwnym; w ten sposób prześlizmy parę kilometrów.

Wreszcie było mi tego zawiele, usiadłem przy drodze i zabrałem się znowu do jedzenia, aż znudzone chłopisko poszło sobie precz odemnie.

Gdy tylko straciłem go z oczu, począłem biec przez pole.

Okrzyłem wieś na czworakach i wkrótce znalazłem się na mej właściwej drodze. Spotykałem tu chłopów wypytywałem o stanowiska „nieprzyjaciół Polaków“ i ostatecznie dowiedziałem się, że te znajdują się w Zboiskach.

Nie kryłem przed nimi, że idę do Lwowa, a oni radzili, aby okrążyć miasto od strony wschodniej, zachodnia bowiem jest w rękach Polaków.

Na gościńcu zaczęły się pojawiać bandy żołnierzy, uzbrojone w granaty ręczne. I znowu zboczyć musiałem z drogi, na którą nie powróciłem już więcej.

Wszedłem w las.

Ileż tajemnic i niebezpieczeństw czeka na mnie w jego głębi!

Ze wszech stron brzmiał huk armat i trzask karabinów maszynowych, a im bardziej posuwałem się w głąb, tem głośniejszą stawała się kanonada.

Jeszcze nigdy w życiu (choć w czasie wojny przeszedłem wiele) wszystkie moje zmysły nie były w tak silnem napięciu, jeszcze nigdy wszystkie moje władze ciała i ducha nie były skierowywane tak silnie ku jednemu celowi, jak obecnie.

O jakże przydały mi się teraz te wszystkie sprawności, które wyrobiło we mnie życie harcerskie, jak wielkie znaczenie miała dla mnie teraz taka np. biegłość w pelzaniu i podchodzeniu, której nabyłem w czasie różnych ćwiczeń i wycieczek jeszcze jako chłopiec!...

Chciałem dostać się do Rzęsny Polskiej, w której rzekomo mieli stać Polacy.

Tak poinformowano mnie w Żółkwi.

Na lewo, w Zboiskach wrzał bój zaciekle.

Przez las przeciągały bandy hajdamackie; musiałem się więc ciągle ukrywać, pelzać przez niebezpieczne tereny, chować się za wzgórki i drzewa, trwać przez długie chwile w zupełnej nieruchomości.

Chwilami czułem ogromne zmęczenie, więc przystanąwszy, posilałem się pozostała mi jeszcze słonina, poczem ruszałem dalej.

Aż oto spostrzegło mnie dwóch ukraińskich żołnierzy.

Zdradził mnie nieostrożny ruch i nagle ujrzałem się w groźnej sytuacji.

Bandyci zbliżyli się ku mnie z przygotowanymi do rzutu granatami ręcznymi w rękach.

Zdecydowałem się momentalnie na walkę z nimi i dwoma celnymi strzałami z brovninga położyłem obydwoh na ziemię.

Ogarnęło mnie uczucie niezmiernej ulgi, bo

oto jedno więcej niebezpieczeństwo miałem poza sobą.

Nie czekając na to, co się z opryszkami stanie, począłem pełzać inną drogą, chociaż w tym samym kierunku.

Od Zboisk, gdzie wrzały największe walki, dochodziły mnie echa zaciętej kanonady, starałem się więc iść tak, by mieć je zawsze po stronie wschodniej, czyli po mojej lewej ręce.

Czas jakiś posuwałem się lasem wśród wzrastającego coraz więcej huku armat i karabinów maszynowych. Tu i ówdzie spotykałem jeszcze patrole ukraińskie, lecz zrećźnie je wymijałem.

Pełzając ciągle i skradając się cicho, przekroczyłem nareszcie linię bojową.

Las zaczynał rzednąć; zdała już ujrzałem orne pola i łąki, drzewa owocowe, parkany; a więc to już wioska, ale w czyich rękach będąca?

Podwoilem czujność i podpełzałem aż do zabudowań.

Chwila bacznej obserwacji i oto zobaczyłem sylwetki żołnierzy z amarantowo-białymi opaskami na ramionach i czapkach.

A więc jestem między swoimi! Radość owładnęła mną zupełnie.

Głód i wyczerpanie zniknęło gdzieś nagle, do

serca wstąpiła jakaś otucha i radość, uczulem się rzeźki, wesół i pełen fantazyi.

Ale i teraz nie opuściła mnie czujność i spryt harcerski, musiałem zachować wszelkie ostrożności, aby nie zobaczyli mnie zbyt nagle i nie postrzelili.

Zapragnąłem wkraść się w sam środek wsi, zajętej i strzeżonej przez nasze wojska.

Pełzałem więc cicho i bez szelestu od chaty do chaty i już tylko kilka kroków dzieliło mnie od żołnierzy, zajętych układaniem materiałów wojskowych.

Ubrani byli rozmaicie, w czapki austriackie lub strzeleckie, z biało-czerwonemi odznakami i orzełkami.

Zajęci swą czynnością, gwarzyli spokojnie między sobą, nie spodziewając się ujrzeć nikogo, więc też, kiedy nagle a niespodziewanie zjawiłem się przed nimi i to w przebraniu Moskala, zdziwienie ich nie miało granic.

Z pośrodkła wysunął się człowiek rostry zapytaniem:

— A czego ty tutaj chcesz?

— Gdzie jest komendant miejscowy? — zapytałem.

Pytanie to zdziwiło wielce pana sierżanta, jakoteż żołnierzy, którzy otoczywszy mnie kołem zażądali bliższego wyłomaczenia się. Za-



rzucili mnie tysiącem pytań, na które jednakże nie zwracałem uwagi, żądając odpro-
wadzenia mnie do komendanta. Wtedy przystąpił do mnie sierżant i skierowawszy broń ku
mnie rozkazał zrewidować.

Poddałem się spokojnie tej po dziesięćkroć
powtarzanej operacji z uczuciem pewności, że
i tak nic nie znajdą.

Po rewizji chciał mnie sierżant gdzieś z sobą
zaprowadzić.

Oparłem się temu stanowczo, ponawiając ży-
czenie widzenia się z komendantem.

Przy całej tej przeprawie nie opuszczała mnie
pewność siebie, ni chytrność, potrzebna w takim
wypadku; śmiejąc się nieco ironicznie otworzy-
łem dłoń z browningiem i ostrym głosem pono-
wiłem prośbę.

To poskutkowało, bo natychmiast pod bagne-
tami zaprowadzili mnie do murowanego dworu
i oznajmili komendantowi Rzesnej Polskiej.

Na zapytanie oficera kim jestem, odpowie-
działem:

— Jestem harcerzem z Krakowa!

Chwila zdziwienia, podzem zażądano mego
wylegitymowania się.

Zmęczony, brudny, cuchnący błotem i obszar-
pany usiadłem bez ceremonii na fotelu i począ-

łem zdejmować kamasze i owijaki, pod którymi
miałem ukryte papiery i dokumenty.

Gdy pokazałem komendantowi moją legity-
mację osobistą, ten przedstawił mi się, a nastę-
pnie telefonicznie zawiadomił komendę Lwowa
o mojem przybyciu.

W następnym pokoju byli zgromadzeni liczni
oficerowie. Na mój widok wpadli w tak wielką
radość, że wiwatom i okrzykom nie było końca;
ściskano i całowano się wzajemnie.

A ja tymczasem, utrudzony wielce i głodny,
posiłałem się zapamiętale, by nabrać sił do dal-
szych zadań, jakie mnie czekały.

Zapadała noc.

Przed dwór zajechał automobil, do którego
wsiadłem wraz z komendantem i adjutantem.

Mknęliśmy szybko wśród zupełnych już ciem-
ności, a towarzyszył nam huk armat i trzask
karabinów maszynowych.

Krwawa luna na niebie rozjaśniła nam
drogę.

To odbłaski palących się wsi okolicznych.

Wtem tuż ponad naszymi głowami rozległ się
świs przeciągły, głuchy huk wstrząsnął powie-
trzem i szrapnel pękł z łoskotem na wysokości
dwu pięter.

Nie uczynił nam nic złego. Mknęliśmy dalej...

A droga to była straszna, pełna wybojów i ro-

wów, zalanych wodą, rozmiękła i nierówna, utrudniająca przejazd w wysokim stopniu.

Auto stawało co chwilę, jazda przedłużała się niezmiernie.

Nareszcie wśród nieustannego huku dział i granatów stanęliśmy przed komendą główną przy ulicy Grunwaldzkiej.

Weszliśmy do środka i oto nastąpiła chwila niezmiernie wzruszająca.

Oficerowie chwycili mnie na ręce i jak to niegdyś Skrzetuskiego w Zbarażu, tak mnie ścisnęli i całowali, choć łachmanami byłem okryty, brudny i wymęczony.

Zasypano mnie gradem zapytań.

Oni — znękanymi już i wycieńczeni ciągłymi walkami, czekali wieści, czekali posiłków od nas z zachodu.

Więc opowiadać im zacząłem o tem, że najdalej za tydzień przybędzie odsiecz (sprawdziło się to dosłownie), że ciężkim położeniem Lwowa i jego mieszkańców poruszona jest cała ziemia polska, że zyskali sobie ci bohaterscy obrońcy sławę ogromną i cześć u narodu.

Umieli ginąć bohatersko w obronie świętej sprawy, umieli walczyć do sił ostatka dla tej umiłowanej a drogiej ziemi, więc chylić się muszą przed nimi kornie czoła, błogosławieństwo nad nimi Boże!

Wysłuchali mnie ze wzruszeniem, a potem zaprowadzili do komendanta.

Zastałem go pochylonego nad planem miasta, z troską na czole.

Stałem na baczność i zameldowałem:

— Panie komendancie, melduję, że przybywam z Krakowa jako goniec z pismem od krakowskiej komendy harcerskiej do naczelnej komendy harcerskiej we Lwowie.

Na to odrzekł komendant, że komenda harcerska złała się z wojskową i że wobec tego on może odebrać rozkaz.

Jakoż rozerwał kopertę, przebiegł pismo wzrokiem i wielkie zadowolenie odbiło mu się na twarzy.

Następnie zapytywał się o nastrój ludności Krakowa i okolic.

I znowu prostować musiałem błędne mniemanie, jakoby zachodnia Galicya wraz z Krakowem nie troszczyła się o Lwów i jego obronę.

Ci udręczeni Lwowa obrońcy wyrażali się sceptycznie i z goryczą o mieszkańcach Krakowa, mówiąc z rezygnacją: broniliśmy dotąd i nadal wytrwamy!...

Musiałem przekonywać ich, że błędnie i niesprawiedliwie myślą o nas, opowiadałem o entuzjazmie, jaki panuje w Krakowie, o gorączko-

wych przygotowaniach do odsieczy, ale też i o ogromnych trudnościach, braku materiału i wojska.

Otuchę wlewałem w te serca strapione, krzepiłem ducha, budziłem w nich wiarę gorącą, że młodzież i organizacje harcerskie pierwsze póspieszą na odsiecz.

Oznajmiłem też komendantowi o planach krakowskiej komendy okręgowej zmobilizowania wszystkich starszych harcerzy.

Wysłuchawszy raportu, w serdecznych słowach podziękował mi komendant za wszystko, poczem oddał w opiekę znajdującym się w przyległym pokoju oficerom.

Wieczorem uprosiłem adjutanta o przepustkę na miasto i wraz z harcerzem, pełniącym służbę ordynansa, puściłem się ku frontowi.

Jakież smutne ogarnęło mnie uczucie na widok poniszczonych domów, na widok strasznych gruzów wspaniałych jeszcze do niedawna gmachów.

Szliśmy ulicami, a wiódł nas huk armat coraz dalej i dalej..

Chwilami musieliśmy pełzać lub biedz, to znowu ukrywać się, bo tuż koło głów naszych pękały ze świstem i hukiem granaty.

Spotykanej straży nocnej pokazywaliśmy pa-

rę razy przepustki, a ci, oglądawszy je przy słabym świetle latarek, puszczali nas dalej.

Choć to noc była późna, wstąpiłem do dwu domów i rozspanym a zdumionym ludziom oddałem listy z Krakowa.

Noc ciemna, nikt nie spostrzeże — postanowiliśmy więc z towarzyszem podejść do stanowisk nieprzyjacielskich, i obejrzeć zdobytą z powrotem ulicę.

Weszliśmy najpierw do jasno oświetlonej bramy na pierwsze piętro i tu ujrzałem trzy ciała żołnierzy, zamordowanych przez Ukraińców za to, że brali udział w walkach pod Lwowem. Umęczeni ich oni w sposób iście zwierzęcy; pastwili się nad nimi, znęcali się jak istoty pozbawione zupełnie wszelkich uczuć ludzkich..

I oto pozostawili ich z porozpruwanymi wnętrznościami. Twarze pomordowanych wyrażały ból bezmierny i straszne męki konania.

Czy oni jedni?

Takich i okrutniejszych jeszcze ofiar tysięcy! Zbroczone ich krwią ulice, wypełnione ciałami cmentarze!

Lecz odpowiedzą kiedyś za te zbrodnie watahy zbirów ruskich i ich naród cały odpowie przed Bogiem, przed historią, przed światem i przed Polską samą, która wymierzy sprawie-

dliwość wszystkim swym pokrzywdzonym dzieciom, a ukarze każdego ruskiego zbrodniarza, który się tylko ostoi.

Poszliśmy dalej.

Wszędzie ślady okrutnego zniszczenia, powyrywane granatami drzwi i futryny, poszczerbione mury, świadczące o odbytych tu walkach.

Około północy zmniejszyła się kanonada, przycichł huk dział; wróciliśmy do komendy.

Pełen najrozmaitszych wrażeń, zmęczony i utrudzony śmiertelnie, zasnąłem od razu snem kamiennym.

Zbudziło mnie stukanie do drzwi.

Wstałem czempredzej i zjadłszy pośpiesznie śniadanie, udałem się na wezwanie do komendy.

Byli tam już zgromadzeni cywilni i wojskowi. Ci ostatni jęli mnie wypytywać o stosunki, panujące w częściach zajętych przez Ukraińców.

Więc opisałem im drogę, odbytą przez Jarosław, Rawę Ruską, Żółkiew, obliczyłem mniej więcej siły znajdujące się na poszczególnych stacjach, oznajmiłem, że większe masy wojsk znajdują się w Rawie Ruskiej i Żółkwi, oraz że we wszystkich wyżej wymienionych miejscowościach przygotowują się Polacy do ruchu zbrojnego.

O 10-tej rano miałem wracać do Krakowa, znowu z dokumentami i rozkazami.

Nadszedł czas odjazdu. W słowach gorących i szczerych pożegnałem bohaterskich obrońców Lwowa, poczem sam równie serdecznie żegnany odjechałem autem do Rzęsnej Polskiej.

We dworze pożegnałem się we wszystkimi znajomymi i znowu, jak poprzednio, z browningiem, ukrytym w rękawicze, i z kijem w ręku, jak dziad wędrowny, ruszyłem naprzód.

Minąłem ostatnie placówki dzielnych wojsk polskich i wkrótce znalazłem się w lesie.

Wracałem więc teraz tą samą co poprzednio drogą, ale jakżeż innych doznawałem uczuć!

Szedłem spokojny; spełniłem bowiem rozkaz, dotarłem do obleżonego miasta, rzuciłem ziarno pociechy w zbolale i znużone już ciąglą waiłką serca, podniosłem na duchu, pokrępiłem!...

Skradałem się lasem, jak wąż, cały zamieniłem się w słuch, wyteżyłem wzrok i bez szelestu, z największą ostrożnością pełzałem wśród zarośli i jarów.

Zdążałem ku zachodowi! Ta część pozycji była na razie nieczynna.

Polskie placówki znajdowały się w Rzęsnej Polskiej, ruskie w Rzęsnej Ruskiej, na błoniach janowskich i w Dominikankach.

Posuwałem się wciąż lasami do Tycznej, na

Janową, Żelechówkę. Głuchy huk armat, idący od północy i południa towarzyszył mi i w tej powrotnej drodze.

Zobaczywszy zdala zabudowania, omijałem je starannie, zauważywszy coś podejrzanego, przyczałem się i kryłem za krzakami.

Chwilami czułem zmęczenie, strażnicy organizm dopominał się swego, więc wyciągałem ową nieśmiertelną słoninę i posiłałem się nią.

Minęło południe.

Otucha wstąpiła w me serce, boć minąłem już Janów, a jeszcze nie spotkałem żadnego hajdamaki.

Wreszcie, pewny siebie, wszedłem na gościniec, powtarzając sobie w duchu bajeczkę, że: Jestem biednym, wymęczonym jeńcem rosyjskim, wracającym z niewoli.

Strudzonemu i zgłodniałemu cóż zrobić mogą „bracia Ukraińcy“? wszak jestem Rusinem, a wracam z pod Przemyśla do Birczy.

Tak miałem się w razie potrzeby tłumaczyć...

Pod wieczór spotkałem dwie patrole, które po zrewidowaniu kieszeni i chlebaka puściły mnie wolno.

I znowu posuwałem się czas dłuższy leśną drogą, nie napotykając nikogo.

Wreszcie dotarłem do wsi, gdzie poinformowano mnie, że napotkam po drodze bandę u-

kraińskich opryszków, trudniących się obdzieraniem przechodniów i odbieraniem im całego mienia.

Postanowiłem mieć się na baczności.

Dzięki nadzwyczajnej czujności udało mi się ominąć ową bandę i już spokojny, pewny, że uniknąłem największego niebezpieczeństwa, posuwałem się dalej, gdy nagle zamajaczyły przedemną sylwetki dwu uzbrojonych żołnierzy.

Nie zobaczyli mię jeszcze, więc z zapartym oddechem przyczałem się, czekając póki nie odejdą.

Nareszcie! odetchnąłem z ulgą, bo oto jeden z nich oddalił się.

Zerwałem się z ziemi i szybko zbliżyłem się ku pozostałemu. Zmierzyłem do niego z brzoźnika i zawołałem:

— Ręce do góry! oddaj broń!...

Tchórzliwe chłopisko, trzęsąc się ze strachu, rzuciło karabin, poczem zaczęło ze siebie zdejmować płaszcz, sumkę i wszystko, co miało przy sobie i na sobie, choć nie żądałem tego.

Aż litość brała patrzeć na tego człowieka, który ze strachu nie wiedział, co czyni. Puściłem go wolno.

Gdy się oddalił, chciałem biedz czempredzej, rwałem się naprzód, ale rozsądek nakazywał mi

zostać, zaczekać jeszcze chwilę, dopóki Ukraińiec nie zniknie zupełnie.

A nuż się wróci, przyczai za drzewem i zobaczywszy mnie uciekającego, sprowadzi całą bandę Ukraińców?

Czekałem więc spokojnie, śledząc bacznie jego kroki. Widziałem, jak oddalał się szybko, potem zwalniał kroku i znowu szedł dalej. W końcu zniknął za drzewami hen w oddali.

Zostałem sam, a cisza i spokój, panujący wokoło mnie zaczął mi się udzielać, przenikać do duszy.

Tak mało zaznałem go w czasie tej mojej wędrówki, tak już przywykłem do nieustannego huku dział, że teraz dziwiła mię ta martwota.

Lecz wnet otrząsnąłem się z chwilowej zadumy, zabrałem pozostawiony przez Ukraińca płaszcz i pędem rzuciłem się naprzód. Wtem doszedł mnie turkot wozu, jadącego drogą.

Myśl zawadyacka zaświtała mi w głowie; postanowiłem dalszą część drogi odbyć na wozie.

Przyczaiłem się, a gdy wóz drabiniasty nadjechał, przyskoczyłem do woźnicy i zmierzwszy do niego z browninga, zawołałem groźnie:

— Stój! dokąd jedziesz?...

Przestraszony chłop wskazał mi drogę wprost przeciwną.

— Pojedziesz ze mną do Krakowca — oświadczyłem.

To rzekłszy, wygramoliłem się na wóz, a chłopina mrucząc wciąż i przeklinając wojnę i jej porządkę, rad nie rad, ruszył w drogę.

Po parogodzinnej jeździe zbliżyliśmy się do Krakowca.

Ogarnął mnie teraz niepokój; przy natknięciu się bowiem na patrol lub straż musiałbym się wylegitymować, pokazać papiery, a ja żadnych nie miałem.

I tym jednak razem nie opuściło mię szczęście. Nie spotkałem nikogo i droga do wsi stała mi otworem.

Tuż za mostem kazałem zatrzymać się woźnicy i zawrócić konie, mówiąc, że za chwilę pojedziemy z powrotem.

Wszedłem między uspięne chaty. Noc pogodna, gwiazdzista, cicha noc zimowa ukolysała je do snu.

Gdzieś tam zaszczeakał przeciągle pies, pozatem nic nie mąciło ciszy.

Z trudem prostując skostniałe na wozie nogi, posuwałem się naprzód.

Niepewność sytuacji i cisza złowroga przynębiały mię nieco.

Owionął mię tajemniczy nastrój nocy, rozbujała wyobraźnia mówiła mi, że musi nastąpić

jakaś przygoda, awantura niespodziewana, to też szedłem ostrożnie, wsłuchując się bacznie w tę ciszę i w ten mrok tajemniczy.

Nic — tylko cisza. Nie zjawił się żaden duch złowrogi, ni upiór, ni Ukraińiec, przeszedłem wieś całą spokojnie..

Dopiero u jej wylotu doleciał mnie odgłos jadącego wozu.

To gospodarz mój umykał szybko.

Uradowałem się tem wielce, fantazyja wróciła; nie potrzebowałem obawiać się więcej, że woznica zaalarmuje wieś.

Więc żywo i ochotnie ruszyłem dalej i ani spostrzegłem, że świtać zaczęło już dawno; jutrzienka zaróżowiła niebo, wstawał dzień jasny, pogodny.

Teraz dopiero poczułem zmęczenie, musiałem przystanąć dla odpoczynku. I znowu ciągnąłem ową nieśmiertelną słońcinę i zjadłem z wilczym apetytem teraz już jej ostatki.

Minąłem patrole ukraińskie, które odnosząc się do mnie dość życzliwie, nie rewidowały teraz, ale nawet wskazywały drogę, opowiadając przytem o nadużyciach Polaków.

Z naprężeniem i gorączką maszerowałem dalej; odczuwałem instynktowo bliźkość wojsk polskich i myśl, że może za chwilę z niemi się połączę, podniecała mnie; precz odbiegło zmę-

czenie, czułem skrzydła u ramion i już nie szedłem, ale biegłem.

Zbliżałem się do Radymna i wkrótce na jednym z mostów ujrzałem pierwszą straż polską.

— Cześć! — krzyknąłem już z daleka, a potem z wielkiej radości chwyciłem żołnierza w ramiona, uściskałem i ucałowałem.

Misya moja skończona! Powiodło mi się najzupełniej i oto teraz z takim bezgranicznem uczuciem szczęścia wracam do Krakowa!



45727